Rozmaitości

DNIA 6. MARCA — Ner 10. — 1835 ROKU.

DLA TEGO NIE PIJĘ SZAMPANA.

Z rossyjskiego W. Pokrowskiego.

1.

Etes vous amoureux?
A vingt ans tous le monde l'est un peu.
Victor Hugo.

Opuściłem uniwersytet r. 1829, właśnie gdy cała Moskwa zachwycona była pięknością panny O.....woj. — W istocie Lizaweta Mikołajewna była bardzo powabna. Łączyła wszystkie zalety: twarz przyjemną, kibić wysmukłą, starożytność familii i bogaty posag. Przeciwnie życie jéj nie było wcale przyjemne: każde jéj poruszenie, każde słowo, wzrok każdy, był przedmiotem rozmów w towarzystwach moskiewskich. Dóm jéj ojca był miejscem zgromadzenia ludzi wszelkiego rodzaju, jakto jest zwyczajem w Moskwie; ale najlepiéj przyjmowano wirtuozów i literatów. Lizaweta Mikołajewna, pieszczota ojca swojego, była szalenie zamiłowaną w literaturze rossyjskiéj, broniła jéj z wszelkich sił swoich i sama nawet wiérsze pisywała.

Jeden z najwięcéj znanych poetów naszych poświęcał jéj elegie, listy, madrygały. Każdy wiedział o tém; ja także.

Miałem dopiéro lat 17cie. W tym wieku zdaje się wszystko podobne do wykonania. Postanowiłem sobie odebrać sławnemu poecie Lizawetę Mikołajewnę, i zacząłem odwiédzać regularnie stawy Presneńskie, gdzie codzień na przechadzkę wychodziła.

Z początku dosyć zimno patrzałem na nią; próżność tylko powodowała mię do codziennéj przechadzki po jednostajnych szpalerowych ulicach, stawy otaczających. Lecz oziębłość moja nie długo trwała; nie minęło dni czternaście, a już nie mógłem oderwać oczu od powabnéj kibici, od czarujących nóżek téj moskiewskiéj piękności i nie postrzegłem tego, że jéj cieniem zostałem. — I ona nareszcie zwróciła na mnie uwagę. Wytrwałość moja schlebiała jéj miłości własnéj. Dowiadywała się o mnie i powiedziano jéj, że byłem literatem, żem wiérsze pisywał. Imię literata było wstępem do domu jéj ojca. Byłem mu przedstawiony i z otwartémi rękoma przyjęty. Przy piérwszych odwiédzinach podała mi Lizaweta Mikołajewna imionnik swój z prośbą, bym weń wiérsze jakie wpisał.

Nie mogę sobie przypomnieć przykrzejszéj nocy, jak ta była, którą przy tym imionniku spędziłem. Trzeba było madrygał napisać. Madrygał ten był dla mnie ową myślą Hamleta: »Być albo nie być.« Stokrotnie porywałem za pióro, ze sto madrygałów napisałem; ale wszystkie były czcze, suche, niegodne mojéj ubóstwionéj. Noc wlekła się, jak dwa wieki, a wschodzące słońce zastało mię jeczcze w krześle, nad stosem podartych papiérów, z imionnikiem w ręku. W tém wzrok mój padł przypadkiem na Noworocznik paryzki z r. 1799. Wziąłem do rąk tę zużytą już książeczkę, bez myśli prawie zacząłem w niéj przerzucać, odczytałem kilka miejsc... Boże! co za szczęście! Znalazłem, czegom szukał! Znalazłem elegiją, w któréj wszystkie myśli, wszystkie uczucia kochającego bez nadziei odmalowane były jak najtrafniéj, najtkliwiéj i najprzyjemniéj! Wiérsz potoczysty, ładny — co za skarb! Zgrabnémi literami odpisałem go w imionnik i ręką świętokradzką położyłem pod nim ładnym pociągiem pióra imię moje.

Oczekując z niecierpliwością godziny 12téj, lecę do Lizawety Mikołajewnéj; wchodzę do przedpokoju — nié ma jéj w domu! W złym humorze oddaję służącemu imionnik

i kwaśny wychodzę ku stawom Presneńskim. Jak dzień mi zeszedł, nie wiém; nie należałem już więcéj do siebie.

Nareszcie koło 7méj wieczorem pokazała się przed sztachetami ogrodu Presneńskiego z takiém ode mnie upragnieniem oczekiwana familija. Osypano mię pochwałami, nazywano Tassem, Byronem i Bóg wié kim! Lizaweta Mikołajewna odchodziła prawie od zmysłów z radości; wiérsze francuzkie zupełnie jéj główkę zawróciły. Przechadzając się brzegami stawów, daleko wyprzedziliśmy rodziców; nie dziw, starzy zwykle chodzą powoli. Lizaweta Mikołajewna zapytała mnie:

»Powiedz mi mój panie, czy w wiérszach jego znajduje się choć słowo prawdy? Czémże są one? Czy igraszką fantazyi, czy wyrazem serca?« — Co za pytanie! I z jakim udziałem, jakim głosem anielskim wymówione!

»Mam lat 17cie,« odrzekłem, »a w takich latach nie rozumiémy się jeszcze na kłamstwie. Wszystko, co pisałem, płynęło prosto z duszy.«

Słuchała mię z uwagą i z upodobaniem; czarne jéj oczy śmiały się, pałała twarz. Nie wiém, cobym teraz robił, znajdując się w podobném położeniu; ale wtedy, w roku 17m, w epoce Byronizmu, nie szukałem po kieszeni wyrazów. Okresy pełne namiętności płynęły, jak strumień. Zapewniałem, że już ją lat kilka kocham, że tylko dla tego chciałem się wyszczególnić, ażeby o imieniu mojém zasłyszała, że wszystkie wiérsze dla niéj tylko pisałem...

»Ale wćpan nie znałeś mię?« zrobiła uwagę dosłuchawszy oświadczeń moich.

»O! znałem panią, znałem już dawno. Szukałem natchnienia, szukałem ideału, do któregoby dusza moja przylgnęła! Usłyszałem imię pani, czytałem jéj wiérsze, obaczyłem ją, i zostałaś moim aniołem opiekuńczym. Myśli moje były zawsze przy pani, bo niebiańskie jéj wdzięki ciągle mi w oczach stały. Ale pani pośród balów i biesiad, chwalona i uwielbiana od czcicielów swoich, czy pomyślałaś kiedy o tém, że opodal od niéj, w samotności, łzy wylewałem, odczytując czarujące jéj poezyje? że rano i wieczór modlę się za panią do Boga? że cieszyłem się jéj pomyślnością, że samym już odgłosem jéj imienia przenikniony byłem? że w tłumie ludu tylko na panią patrzałem, jak się patrzéć zwykło na błyszczący meteor na niebie, którego osiągnąć nie można?« Czy wiesz pani, co to jest dwa roki kochać, bez nadziei, bez pocieszenia, cierpiéć nieustannie, a być zmuszonym myśléć przy tém: ona nie zna mojéj katuszy, nie widzi łez moich, nie słyszy westchnień; jéj usta nigdy imienia mojego nie wyrzekły; ona myśli — o innym; kocha — nie mnie.«

Wybuchy mojéj 17letniéj rozpaczy zrobiły najmocniéjsze wrażenie na Lizawecie Mikołajewnie. Łzy stanęły w jéj oczkach; chciała, ale nie mogła przemówić. W téj chwili kochałem ją prawdziwie. Gniewałem się sam na siebie, żem łzami zrosił jéj oczy. Trzeba było rzecz naprawić, przeto dodałem: »Teraz zaś jestem szczęśliwy, niewymownie szczęśliwy! Moja dzika, szalona miłość przestraszyła panią!... O! ja jestem gotów mniéj panią kochać, ażebyś była spokojną, ażebyś się nie bała mojéj namiętności... Chcę stać się godnym pani; będę posiadał talenta, gdy mię pani natchniesz; miłość ku niéj uniesie mię w krainę zachwycenia... Na Boga! popatrz się pani na mnie; cała szczęśliwość moja spoczywa w jéj oczach...«

Podczas tych oświadczeń zatrzymaliśmy się cokolwiek; jéj ręka spoczywała w mojéj, czułem jéj drzenie; jak na nieszczęście zbliżyli się starzy, puściłem jéj rękę. Ojciec pojrzał na mnie ostro i z widoczną niechęcią.

Nazajutrz, trzeciego i czwartego dnia — nie byłem przyjęty. Kiedykolwiek przyszedłem, nie było nikogo w domu. Przeszkody te zapalały tém bardziéj namiętność moję. Męczyłem, dręczyłem się, szukałem sposobności zobaczenia kochanki mojéj na przechadzkach, na bulwarze Twerskim, w ogrodzie zamkowym; wszystko nadaremnie. Byłem w istocie nieszczęśliwy przez urojoną miłość, która do niczego ważniéjszego doprowadzić nie mogła. Nareszcie cios przerażający dotknął mnie: dowiedziałem się, że Lizaweta Mikołajewna za mąż iść miała.

Ojciec pomny, że córka ma lat 18cie i przypomniawszy sobie wiérsze Grybojedowa:

> Być ojcem słusznych córek to kłopot mój Boże!
> Jaki być większy nie może;

postanowił córkę dać za małżonkę staremu pułkownikowi K*.

Ale i mój ojciec zaczął myśléć o służbie krajowéj dla mnie. Przysłowie rossyjskie powiada: W Moskwie żyć można, lecz służyć

potrzeba w Petersburgu. Ojciec mój, idąc za tém zdaniem, dał mi bilet na miejsce w dyliżansie, rodowód szlachectwa, zaświadczenie z uniwersytetu, paczkę banknotów i zaprowadził mię do kantoru dyliżansu. Nie wiedziałem, co się ze mną działo; prawie cieszyłem się, żem opuszczał Moskwę, gdzie mieszkała szkaradna zdrajczyni... W 17m roku wierzyłem jeszcze w stałość niewieścią, i niewierność kochanki do żywego mię dotknęła.

2.

Ach, nóżki! nóżki! gdzież jesteście?
Puszkin.

Z sercem zakrwawioném, w najwyższym stopniu znudzony i wpół-umarły prawie przybyłem do Petersburga. Nie chciałem widzieć ani pomników, ani innych osobliwości miasta. Obojętnie przechadzałem się po wyspach i nie mając ku temu szczególnéj zachęty, jezdziłem do Kronsztadu i do Peterhofu. Wszystkie rozrywki stolicy nie były w stanie zatrzeć w pamięci mojéj wspomnienia piérwszéj miłości.

Wstąpiłem w służbę, i pracowałem pilnie, by o mojéj moskiewskiéj piękności zapomnieć. Nie brakło mi nagród w służbie; dostałem wysoki *czyn* *) i krzyż. Gdym w szczególnych poleceniach lat pięć głąb Rossyi objeżdżał, posuniono mię o dwa *czyny* wyżéj i drugi krzyż dostałem. Lecz o Lizawecie Mikołajewnej przez te łat pięć nie słyszałem. Rodzice moi milczeli o niéj umyślnie. Poeta, który jéj niegdyś elegije poświęcał, ożenił się i zaczął pisać sonety do swojéj żony; to tylko wyczytałem w gazecie, że pułkownik K* wyjechał z małżonką swoją, przedmiotem miłości mojéj, do Karlsbadu.

W początkach r. 1834 posłany zostałem do Moskwy. Ta myśl, że się swojéj rodzinie z dwiema oderowémi wstążeczkami pokażę, przenikała mię radością. Opuściłem Moskwę z niepozornym tytułem poety, a teraz... Po upływie dni pięciu ujrzałem mojego ojca, ucałowałem ręce ukochanéj matki mojéj i uściskałem siostry. Rzecz naturalna, że najpiérwéj dowiadywałem się o piękną pułkownikowę. »Jest w Moskwie,« odpowiedziały siostry; »została wdową: mąż jéj umarł w Niemczech, a ona teraz tu mieszka, w Twerskoi, kilka kroków od nas.«

*) Czyn, urząd.

Nie przebierając się nawet, w surducie podróżnym pobiegłem natychmiast do mojéj kochanéj wdowéj. Wszedłem do niéj — i przypomniałem sobie dawniéjszy rok siedmnasty. Zdawało mi się, żem się z nią nigdy nie rozłączał: widziałem te same oczy niebiańskie, tę samę postać wysmukłą, te same białe rączki, tylko znudzenie, jakaś dolegliwość i smutek malowały się w czarownych rysach znanego mi oblicza. Pocałowałem ją w jéj małą pulchną rączkę. Lizaweta Mikołajewna cieszyła się, że mię widzi. Poglądała na mnie z tym samym udziałem, z jakim przed pięcią laty słuchała koło stawów Presneńskich szalonych wylań serca mojego. Lecz teraz inaczéj rzeczy stały; mógłem rozrządzać sobą, ona — także.

Niespodziéwanie wszedłem do jéj sypialni. Biegłem tak prędko, że ludzie jéj nie zdążyli zameldować mię. I dla tego zastałem ją na sofie leżącą, z głową na prawéj ręce opartą. Z pod białéj sukienki wyglądała mała milutka nóżka, która mnie w podziwienie wprawiała. Ach! nóżki, nóżki!

Rozmowa nasza była żywą i prędką. Wywiadywałem się o jéj stosunki, ona o moje. Tylko wypytywaliśmy siebie, nie mając czasu odpowiadać. Z pobocznego pokoju brzmiał głos fortepianu. Panna, bawiąca przy mojéj miłéj przyjaciółce, grała francuzkiego kontradansa z opery *Robert le Diable*.

»Prześliczny kontradans,« rzekłem. »Pani i teraz zapewne tak lubisz taniec, jak niegdyś. Cała Moskwa zbiegała się patrzeć, gdyś tańczyła na balach publicznych.« Lizaweta Mikołajewna spuściła oczy i zbladła, jak marmur.

»Prawda,« rzekła zmieszana i zasmucona, »lubiłam, bardzo lubiłam taniec, szczególnie galopadę..... ale teraz — o! prawdziewie, jestem nader nieszczęśliwa!«

Zbliżyłem się ku niéj; chciałem wiedzieć historyją jéj smutku, chciałem się dowiedzieć o wszystkich jéj tajemnicach. Kochała mię... została małżonką innego — biédna kobiéta! Oczekiwałem chciwie jéj wyznania; mój egoizm, miłość moja, chciały się niém nasycić. Droższą mi jeszcze była przez smutek swój — zaledwo wstrzymać się mógłem, ażebym ją w jéj piękną nóżkę nie pocałował.

»O! ilem cierpiała, ileżem płakała, gdy mię to nieszczęście spotkało... Wracając z zagranicy omałom życia nie postradała. Mój

powóz wywrócił się; złamałam prawą nogę; musiano mi ją odjąć, a teraz...«

»Cóż? przez Boga! nie dręcz mię pani... cóż?«

»Mam nogę — z drzewa korkowego.«

Łyskawice i pioruny nieba i cała Moskwa z tysiącami domów swoich zwaliła się na mnie. Noga z drzewa korkowego!

Jak oparzony wyleciałem z pokoju sypialnego, wpadłem do domu, kazałem pakować rzeczy, siadam do powozu i dopiéro odzyskuję przytomność, gdy mi na piérwszéj stacyi pocztowéj konie odmieniano.

Od tego czasu nie mogę patrzéć na butelkę zakorkowaną, nie mogę patrzéć, jak pieniący się szampan wyrzuca korki do góry.

I dla tego nie piję szampana.

DO REZEDY.

— Kwitnącéj w sypialnym pokoju. —

Zazdroszczę tobie losu, roślino szczęśliwa!
Patrzysz na jéj dobra-noc; twoja woń opływa
Każdy rąbek jéj szaty; twoja woń, o Boże!
Zalega z nią swobodnie całe szczęścia łoże.

Po jéj licach z najbielszych promieni miesiąca,
Po jéj oczach błękitnych, zrobionych z zarania,
I po jéj ust słodkościach i gdzie czarująca
Pierś pisze na swych pączkach: tu szukaj kochania;
I kędy słońce nie śmié zaglądnąć wstydliwe,
A nie umié księżyca oko na pół żywe,
Tam błądzisz — i tak patrzysz na te tajemnice,
Jakbyś miała kamienne serce i źrenice.
Roślino! mnie daj cząstkę twego przeznaczenia
A zrzeknę się tu słońca, tam — rajskiego cienia.

T. A. OLIZAROSKI.

PARYŻ JAKI BYŁ, I JAKI JEST.

Z dzieł H. L. Bulwera.

(Dokończenie.)

Odwróćmy się od tych jasno oświetlonych okien, gdzie muzyka brzmi, a szampan płynie, i spojrzyjmy na ten plac ponury uczonéj pamięci, zacieniony gmachem Sorbonny. Tu, wprost na przeciw lichego domku; gdzie Rousseau w objęciu swojéj Teresy o Heloizie marzył, stoi mała, ale porządna restauracyja. Nad drzwiami stoi *Flicoteau* — i tu przy dniu pogodnym uczona Francyja jé objady. Przyjdź tu między trzecią a czwartą godziną, usiądź przy jednym z małych stolików, które po większéj części obsadzone zastaniesz. Z prawéj strony siedzi młody, blady mężczyzna; włos długi, spadający na twarz w nieładzie, nadaje oczom jego, które przez nocne czuwanie łyskają ogniem mistycznym, jakiś wyraz dziki; suknia jego chędoga, lecz wytarta, rękawy przykrótkie, spodnie nie dochodzą stopy, spełznięta czarna chustka, lekko obwijająca niezmierny kołniérz od koszuli, nic prawie chudéj nie zakrywa szyi. Po prawéj jest syn Południa, blady, śniadéj cery; jego długie, czarne, na czoło skręcone kędziory spadają mu na ramiona, wązki wąsik zdobi wyższą wargę, co nadaje téj myślącéj twarzy, starożytny apostolski pozór. Na około w izbie, przed chudym kęsem mięsa i chleba i przed bladą flaszą wody, zasiada ta młodzież, która w wieku pełnym potrzeb, pełnym niedostatków, sposobi się na zawód ruchliwego życia lub umiejętności.

Odmalowałem tu dwie najbardziéj uderzające figury, na miarę których cała młoda Francyja zrobiona. Obraz ten, ma się rozumiéć, nie do wszystkich się przyda, także i nie wszyscy uczniowie są równie poważni i pilni, jak ci, których skréśliłem. Niektórzy chodzą słuchać prawa li dla saméj tylko formy, jakto i w naszych uniwersytetach się zdarza. Sąto po większéj części młodzi ludzie z zamożnych familii, mają od czterysta do ośmiuset franków na miesięczne wydatki, zatém mogą próżniackie, rozkoszne prowadzić życie. Na rogu ulicy *Odem* jest kawiarnia tém słynna, że piękna pani za kantorem siedzi; tam oni zwykle jedzą śniadanie, i co ranku dwie lub trzy godziny na jedzeniu, na czytaniu dzienników i na umizgach trawią. Wieczorem idą na drugą stronę rzeki, jedzą w *Palais royal*, i znajdują się w teatrze. Przez resztę czasu kurzą lulkę, baraszkują — to jeszcze zawsze najulubieńsze zatrudnienie Francuzów — a w niezliczonych *salons litteraires* czytają ulotne pisma czasowe. Zaiste rzecz godna uwagi: że żaden z młodych Francuzów nie jest zupełnie próżniakiem, żaden bez pojęć o literaturze, żaden bez jakichkolwiek wiadomości. Wielka masa owych, których w angielskich uniwersytetach obok tak nazwanych pilnych ludzi *(reading men)*, wesołémi ludźmi *(gay men)* zowią, nie otworzy nigdy książki, nigdy nie tknie dziennika,

nigdy trzech wiérszy z Byrona, z Walter-Scotta lub z najpopularniéjszego pisarza nie przeczyta; polują, strzélają, jeżdżą, a jeźli tych rozrywek rzeczywiście używać nie mogą, to przynajmniéj cieniem onych się bawią, i wtedy widzieć ich, jak w myśliwskim stroju lulki kurzą, po stajniach się włóczą, lub wychyleni z okien, jakby konia poganiając, batożkiem trzaskają. W Paryżu przeciwnie, i najwięksi próżniacy z wyżopisanych *gay men*, mają pewien smak do literatury. Czytają, podziwiają, czasem i ubóstwiają jenijusza czasu, i żadnemu tak nie przeminie młodość, aby choć kilka owych szczytnych, poetycznych uczuć nie ocknęło się w nim; uczuć, które w życiu późniéjszém od znikczemnienia strzegą. Lecz takich, którym literatura tylko za przedmiot rozrywki służy, mało się znachodzi, bo rzadko są rozsiani próżnujący, jowialni roztrwaniacze trzystu do czterystu franków miesięcznie. Uczniom medycyny, w większéj części dzieciom ubogich rodziców, gorzko przychodzi ta, chléb dająca nauka, często są ze wszystkich środków utrzymania życia ogołoceni, niektórzy z nich nie mają jak sześćdziesiąt, pięćdziesiąt, czterdzieści franków miesięcznie na stracenie, a za ten grosz nędzny muszą mieszkać, jeść, drzewa kupić, i ubrać się jak tylko najlepiéj można; nędzne pożywienie, niezdrowe powietrze, natężona pilność, zrządza w téj biédnéj młodzieży nadzwyczajną śmertelność. Jedyną pomocą, jedyną pociechą w ich nędzy są *gryzetty* (dziewczęta służebne). Ta przyjacielska, rzetelna, za nadto może uprzejma istota, która z niczém w naszém szczęśliwszém pożyciu porównać się nie da, jest duchem opiekuńczym studenta. Między *gryzettą* a studentem zachodzi pewien rodzaj braterstwa; często mieszkają pod jednym dachem; jestli student chory, dogląda go, jeźli ma podartą bieliznę, co nie rzadko się zdarza, *gryzetta* ją naprawia. Student ze swojéj strony jest obrońcą *gryzetty*, w niedzielę podaje jéj rękę na przechadzce w Luxemburgu, i płaci *sou* za most dla pieszych. Równie ubodzy, równie bez opieki i pomocy, spotykają się dla wspólnéj potrzeby, i tak naturalnym sposobem tworzą właściwą sobie społeczność. Ta cała część miasta przyległa Luxemburgowi nosi piętno charakteru swoich młodocianych mieszkańców. O czém dobrze wiedząc, czują się jak na własnéj swojéj siedzibie; wysoko też zadziérają nosa i czapkę lub kapelusz na bakier noszą.

Do młodości przyszłość należy, lecz gdzież przeszłości szukać?... Pójdźcie ze mną, ostatnia to nasza pielgrzymka; pójdźcie ze mną do téj grupy fantastycznych grobowców, gdzie miłość i próżność znikomo się rozpościéra, u wrót smętarza za dwa *sou* wieniec z kwiatów robionych kupuje, i wiesza go nad grobem ubóstwianego kochanka. Tu spoczywa Abelard i Heloiza. Ileżto ideów, obyczajów doktryn, zmian, rewolucyi, wiąże się w fantazyi przy tym pomniku? Tu spoczywa Massena, wódz cesarza; tam Foy, polityk restauracyi; dopiéro lat dwadzieścia jak ten smętarz otwarto, a już dwie dynastyje pochował. Lecz minąwszy ten las piramid, obelisków, mogił i kolumn, rzućmy te świeże grobowce, i z téj góry spojrzyjmy na pomniki, którémi się wieki z wiekami wiążą! jaki ogrom dziejów leży w obec nas! Patrzcie, tam kościoł S. Ludwika, tam posąg Bonapartego! Obejrzyjcie się: Kędyż stała świątynia Jowisza, kędy dom Ninony de l'Enclos, kędy pałac Richelieu? Wyobraźność wasza niech ocieni płynącą tam rzékę ciemnym borem, w którym *drujdowie* tajemnice służby bożéj odprawiali; niech wązkiémi uliczkami téj ustroni wesoły się orszak pomyka na święto Bachusa i Cerery; zaludniéjcie miasto snującémi się postaciami zakapturzonych mnichów i zbrojnych rycérzy; wystawcie sobie gmatwaninę Ligi, rzeź nocy Bartłomiejskiéj, i owego Karola, który z rusznicą w ręku stał w oknie, a Sekwana czerwona, wzdęta, protestancką krwią płynęła! Wyobraźcie sobie miasto w wiecznym uciech zawrocie, w pojedynkach, w gonitwach za sławą, patrzcie na rąbaniny niespokojnéj szlachty w owym rycérskim, wytwornym czasie; a tam znowu na budy w ulicy *Quincampoix*, gdzie upadłe rycérstwo Francyi, smutno się na widok stawia. Patrzcie daléj: Mirabeau na mównicy, Lafayette na marsowém polu konno gminowi przewodzący! Bonaparte wraca z Egiptu, udaje się do Instytutu, wielka armija przeciąga na placu Karuzelu, kozacy koczują na polach Elezéjskich, gwardyja królewska ucieka z Luwru, a gwardyja narodowa na bulwarze stoi do przeglądu!

WYJĄTEK Z LISTU,

PISANEGO PRZEZ PODRÓŻUJĄCEGO POLAKA.

Wyspy Balearskie. Minorka, w porcie Mahon dnia 3go grudnia 1834.

...Z Tryjestu udałem się do Ameryki północnéj. Półpiąta miesiąca morskiéj podróży przy ciągłych burzach i najniepomyślniéjszych wiatrach, nie bardzo były przyjemne; lecz nareszcie przybyliśmy szczęśliwie i na ląd zostaliśmy wysadzeni. Zachwycający jest widok tego nowego świata: nadzwyczajny ruch, rozciągły handel, mnóstwo okrętów, tak żaglowych, jako i parowych, które przepyszny tworzą widok; miasta ludne, budowane w guście angielskim; czynna strojno ubrana ludność; natłok pojazdów; twarze Angielek, jak śnieg białe, przeplatane widokiem Mulatów i Murzynów, kręcących się po oświéconych gazem ulicach; wszystko to z początku czarodziejsko złudza; lecz wszedłszy w sposób życia nietowarzyski, zimny, obojętny, słowem dumno-angielski, pobyt w tutejszym kraju nie może być nazbyt pożądany. Przez położenie i obowiązki, które pełniłem z razu, zabrałem znajomość w najznakomitszych domach kraju i z osobami pełniącémi najpierwsze w kraju obowiązki. Byłem przedstawiony prezydentowi Stanów Zjednoczonych, na pokojach najprzyjemniéj przyjęty i następnie na wieczór zaproszony. Objechałem prawie całe Zjednoczone amerykańskie Stany, przynajmniéj najznakomitsze miejsca: Boston, New-York, Filadelfija, Baltimor, Washington i t. p. Stany Zjednoczone są podobno najbogatszym krajem w świecie; nié ma w nich człowieka chodzącego boso i obdarto, nie jedzącego mięsa, choć raz na dzień, nie pijącego rano kawy, a wieczór herbaty; prosty wyrobnik zarobić może na dzień 2 złr. srebrem i więcéj. Rząd zaś prócz tego, że trzyma liczną flotę, która ogromnie kosztuje, ma z samych ceł od okrętów zagranicznych 100 milijon. złr. dochodu. Zaiste, nie wié, gdzie ma dochody swoje obracać. Po ukończeniu obowiązku, który miałem włożony na siebie, obrałem sobie Boston na mieszkanie, miasto uchodzące za najbogatsze z 80,000 ludności, mające w sobie najlepsze towarzystwa, bo bardzo wiele jest osób dobrze wychowanych i posiadających milijonowy majątek; jednakże lubo wprowadzony w piękny świat, i dobry ton bostoński, nie znajdowałem tam wielkiéj przyjemności, dla tego, że nie mógłem jeszcze dobrze mówić po angielsku, Anglicy zaś bardzo rzadko mówią, lub chcą mówić po francuzku, albo po włosku; a powtóre, że charakter i sposób życia połączonych najwyższą pieniężną arystokracyją wcale mnie nie przypadł do smaku. Lubo muszę przyznać, że mię oddawano wszelką grzeczność, jaka tylko w ucywilizowanym kraju być może, jednak o tém tylko myślałem, gdzie się udać, i czy między Francuzami, Hiszpanami lub Portugalczykami osiąść. Wkrótce nadarzyła mię się do tego sposobność. Fregata amerykańska *Potomak* o 60 działach ciężkiego wagomiaru wychodziła pod żagle, z przeznaczeniem trzech-letniego stanowiska na Wschodzie; a ponieważ to się zgadzało z moją chęcią podróżowania, wszedłem w obowiązki i d. 22. października opuściliśmy Amerykę. Zaraz drugiego dnia przy mocnej burzy małośmy się nie rozstali z tym światem, wpadłszy na mieliznę. Szczęściem, że była nowa fregata, dobrze zbudowana i obita miedzią, wytrzymała trzy uderzenia i nie rozbiła się, a tak po 23 dniach podróży przebyliśmy burzliwy Ocean i zawinęliśmy do Gibraltaru. Zwiédziłem więc powtórnie ten klucz Europy, który przez swoje położenie i uzbrojenie 400 działami godzien jest tego nazwiska. Zabawiwszy tam dni dziesięć udaliśmy się do Mahon, dokąd przybywszy po 10 dniach żeglugi, zarzuciliśmy kotwicę i z tąd list ten piszę. — Mahon posiada najlepszy port na calém Śródziemném Morzu, jest stanowiskiem zimowém eskadry amerykańskiéj w téj części świata i zastaliśmy ją całą zebraną, stojącą w kwarantanie; gdyż przybywszy z Mniéjszéj Azyi do Egiptu ma trochę chorych ludzi. Spodziéwamy się tutaj spędzić zapusty. Jest to miasto nie najgorzéj zbudowane, z 20,000 mieszkańców Hiszpanów, albo raczéj Hiszpanek, gdyż prawie wszyscy mężczyzni poszli do Hiszpanii na wojnę. Eskadra ta wyjdzie z wiosną na służbę, zwiédzimy więc wszystkie porty Śródziemnego Morza: Marsylija, Tulon, Genuę, Liworno, zkąd zrobiémy wycieczkę lądem do Florencyi i Rzymu. Daléj udamy się do Neapolu, Messyny, Palermo, Wenecyi i t. d.; potém popłyniemy na Archipelag grecki i do Konstantynopola, do Azyi i do Egiptu, gdzie będziemy mieli sposobność dojechać lądem do Jerozolimy. Wracając zaś zwiédzimy resztę Afryki: Trypolis, Tunet, Algiér; Maurów i Hiszpaniją. Za prawdę będzie to piękna podróż, ale nie wiém, czyli zdołam wytrwać całą; niedostatek poruszenia nie służy mojemu zdrowiu, a przytém morska służba połączona jest z wielą niewygodami i z wyparciem się wielu przyjemności życia; lubo i to prawda, że przybywszy do portu można to sobie wynagrodzić sowicie. Być może, że po zwiédzeniu Włoch wezmę uwolnienie od służby i pojadę do Paryża, a ztamtąd do Ameryki, gdzie starać się zamyślam o miejsce konzula amerykańskiego przy jakim dworze w Europie. Są to bowiem miejsca trochę lepsze i wygodniéjsze; teraźniéjsza zaś płaca moja nie wynosi więcéj jak 80 złr. w srebrze na miesiąc, z których można wyżyć na Śródziemném Morzu; ale w Ameryce jest to bardzo mało. Konzul przeciwnie pobiéra rocznie 4 do 5000 złr. w srébrze;

przytém ma znaczenie, gdyż jest niejako w stopniu jenerała. Nie wiém jeszcze, czyli mię nadzieja nie omyli, lubo mam pewne przyczyny spodziéwać się dobrego skutku. Jeźli zaś nie powiedzie mi się ten zamiar, pojadę do Indyj lub do Chin. Proszę cię odpisz mię, wielka tém sprawisz mi przyjemność, bo jakto już dawno, że ani polskiéj mowy nie słyszałem, ani polskiego nie czytałem listu! *L. Bańczakiewicz.*

— Ze Lwowa. —

Z drukarni Piotra Pillera wyszły: Pisemka Kazimierza Józefa Turowskiego; zeszyt I. (str. 70). Sąto poezyje, uwagi estetyczne i filozoficzne, kazki czyli powieści gminne ruskie, a w końcu, obok krótkiego wspomnienia o Ignacym Krasickim (którego urodzenia minęła właśnie teraz stoletnia rocznica, urodził się bowiem d. 3. lutego r. 1735) są wyjątki z jego rubrycelli warmińskiéj na r. 1793. Mąż ten miał bowiem zwyczaj na białych kartkach rubrycelli zapisywać różne myśli i postrzeżenia i jednę taką rubrycellę posiada zakład narod. im. Ossolińskich. Wyjmujemy z téj rubrycelli jednę uwagę: Ojciec króla Stanisława Augusta, kasztelan krakowski, mawiał: »Zdjęcie czapki, choć przed niższym, zdrowiu nie szkodzi, ani interesom w liście: najniższy sługa.« — Pisemka te są małém dziełkiem, ale pełném ducha i treści; szkoda tylko, że skażone licznémi błędami drukarskiémi.

Z początkiem b. r. wyszło w Pradze trzecie, bardzo ozdobne wydanie Rękopisu Królodworskiego, nakładem pana Wacława Hanki, który przydał do niego wstępną historyczną wiadomość, oraz przekład swój własny w nowo-czeskim języku. Przy końcu dołączone są przekłady w dwóch narzeczach sławiańskich, i tak w polskim: kilka pieśni przekładu Lucyjana Siemińskiego, wyjęte z Ziewonii, jedna przekładu prof. Kucharskiego, i dwie w kraińskiém narzeczu. Nadmieniając o tłumaczach polskich tego rękopisu nie wspomniał wydawca o znanym z »Haliczanina,« całkowitym przekładzie przez Ludwika Nabielaka, w miarach pierwotworu; tudzież o przekładzie częściowym Rakowieckiego w »Prawdzie Ruskiéj,« i o rozrzuconych po pismach czasowych przekładach Majewskiego, Brodzińskiego, Witwickiego i Bogdana Zaleskiego. Wydawca nadmienił jeszcze o przekładzie w ruskiém narzeczu przez Galicyjanina Marcyjana Ruslana Szaszkiewicza, dotąd znanym z rękopisu. Do ogólnéj o przekładach polskich wiadomości dodać można dotąd niedrukowany przekład »Sądu Libuszy,« przez tłumacza »Wyprawy Igora na Połowców.«

Z Krakowa. Towarzystwo naukowe tutejsze, złączone z Uniwersytetem Jagiellońskim, odbyło d. 15go stycznia r. b. publiczne posiedzenie swoje w amfiteatrze gmachów Nowodworskich. Rektor uniwersytetu i prezes towarzystwa, pan Hube, czytał rozprawę: »O wpływie wiekopomnego Kopernika na potomne czasy i na teraźniejszą astronomiję;« a sekretarz towarzystwa, były profesor pan Czajkowski, rzecz: »O dążności usiłowań ludzkich w zawodzie oświécenia i o ustawicznym postępie nauk pięknych na drodze ciągłych przemian.« — Anna Terlecka z domu Schugth, małżonka doktora medycyny, znana w literackim świecie pod imieniem: Anny z Krakowa, bez wątpienia jedna z najlepszych tegoczesnych poetek naszych (któréj utwory znane są także czytelnikom Rozmaitości), umarła tu w przeszłym miesiącu w kwiecie wieku, zostawiwszy po sobie pamięć cnót, i żal powszechny z powodu straty, jaką śmierć jéj literaturze naszéj zadała, któréj niepoślednią rokowała ozdobę. Zostawiła liczny zbiór poezyj swoich, które bądź w ręku małżonka, bądź w ręku jéj przyjaciół znajdują się, i jest wszelka nadzieja, że wkrótce na jaw wydane będą. Celuje między niemi poemat: Trzy łzy anioła. Obraz autorki téj, przedstawiający ją w stanie dziewiczym, rytuje się właśnie w Pradze, staraniem jednego z uczonych mężów Galicyi. — Tom pierwszy: Pomników historyi i literatury polskiéj, wyszedł z drukarni Frydleina.

Z Warszawy. Ostatni czyli trzeci tom romansu historycznego Tad. Bułgaryna: Mazeppa, wyszedł w przekładzie polskim.

Pism czasowych w języku polskim wychodzi w Warszawie 13; w Krakowie 6; w Wilnie 3; we Lwowie 2; w Poznaniu 1; w Lesznie 1; w Przemyślu 1; w Petersburgu 2; w innych miastach Europy 4. Razem 33 pism treści politycznéj i literackiéj.

Z Wilna. R. 1834 wyszła tu powieść historyczna z dziejów polskich w 2ch tomach, pod nazwą: Eudoxyja, księżna Mazowiecka.

Literatura mało-ruska. Osnowianeńko wydał w Moskwie (1834): *Małorossijskije powesti.* Znajdzie tu czytelnik wiadomość o Hajdamakach i Kozakach. W Charkowie wyszły: *Małorossijskije posłowicy* (przysłowia). W ogóle Mało-Rusini zaczynają więcéj teraz zajmować się pismiennictwem swojego narzecza.

P. Sawinicz, uczeń uniwersytetu w Moskwie, przełożył na język rossyjski dzieło: W. A. Maciejowskiego »Historyja prawodawstw sławiańskich.«

Romans historyczny Fr. Wężyka: Zygmunt z Szamotuł wytłumaczył na język niemiecki baron Oelsnitz, i wydał w Zwikau (Saxonii), w dwóch tomach, pod nazwą: *Sigismund aus Samter.*

Kolosalne statui marmurowe: Chrystus i apostołowie, dłuta Thorwaldsena dla Kopenhagi, zostały ukończone i największe odbierają pochwały. Szczególnie zachwyca błoga godność w obliczu Zbawiciela. Równie także blizkim jest ukończenia tegoż artysty pomnik dla Guttenberga, przeznaczony dla Moguncyi.

Pod tytułem: *Contes et Nouvelles littéraires, Histoire de la poesie et de la littérature chez tous les peuples* rozpoczął znany Juliusz Janin wydawać w powieściach i romansach dzieje narodowe różnych ludów, tak starożytnych jak i nowych.

Eugeniusz de Pradel ma zamiar, łącznie z wielu uczonymi, wydać w 20 tomach dzieło pod nazwą: *Archives biographiques des membres de la légion d'honneur, depuis son origine jusqu'à nos jours, précédées d'un résumé historique de l'ordre.*

Dzienniki paryzkie chwalą mocno, i za arcydzieło mają, graną na teatrze *Vaudeville* w Paryżu nową sztukę Mellevilla ze spiéwami w dwoch aktach, pod nazwą: »Ona dostała pomieszania zmysłów.«

Apostoł St. Symonistów, Barrault, który na Wschodzie matki szukał, powrócił z niczém do Paryża.

Interpunkcyja (kładzenie znamion pisarskich) wprowadzoną została w wydaniu klasyków łacińskich dopiéro w 16tym wieku. Jeden z uczonych bardzo miernych talentów, imieniem Manucyjusz, wynalazł w owym czasie *kommę* (przecinek) i *semikolon* (średnik). Dwukropek, ten delikatny łącznik między poprzednim i następnym okresem, poźniéj dopiéro wynalezionym został.

Największym i najpiękniéjszym szpitalem na świecie jest szpital paryzki dla płci żeńskiéj, *Salpetrière* zwany. Przyjmują doń chore i obłąkanych zmysłów niewiasty. Szpital ten ma własnych rzemieślników, mieszkających na osobnym dziedzińcu i utrzymywanych z kasy zakładu. Ma także własne targowisko. Liczba mieszkańców tego, ogrody także mieszczącego, zakładu, wynosiła z końcem 1833 roku 4881 osób, to jest. 2831 zdrowych ubogich niewiast, 101 chorych niewiast, 923 pomieszanie

zmysłów mających, a będących nie do wyleczenia, 117 obłąkanych, mogących być wyleczonémi, 105 obłąkanych innémi jeszcze złożonych słabościami, 206 epileptycznych niewiast, 184 ubogich wysłużonych dozorczyń szpitalu, 116 ubogich niewiast, którym wychodzić wolno, 388 osób płci obojéj, umieszczonych przy tym szpitalu, a 27 lekarzów i aptékarzów. Co roku wstępuje do tego zakładu 1500 osób w przecięciu, a 500 opuszcza go; umiéra zaś przeszło 900 osób.

W Roanne, we Francyi, znajduje się duża drukarnia, w któréj kobiéty pracują, ćwiczone do tego zatrudnienia w nauce czytania, pisania i gramatyki.

P. Bulwer, słynny autor angielski, zajmuje się napisaniem nowego romansu. Jego ulotne pismo o ostatniéj zmianie ministrów w Anglii doczekało się, w dniach ośmiu, siedmiu wydań. — Lady Morgan ma wkrótce wydać romans, pod tytułem: »Księżniczka.«

Liczba nowych książek, wydanych roku zeszłego w Londynie, wynosi 1270, łącznie z nowémi edycyjami, pismami ulotnémi i czasowémi; zatém o 100 więcéj, jak r. 1833. Rycin wyszło 73, między témi 31 portretów.

Pewien naturalista w Londynie wydał pismo pod tytułem: »Ptaki wędrowne,« i w niém z rzadką pilnością zebrał postrzeżenia, jakie dotąd nad podróżami ptaków wędrownych czyniono. Ponieważ pobyt zimowy większéj części tych ptaków jeszcze odkryty nie jest, więc autor rzeczonego dziełka robi projekt, ażeby we wszystkich częściach świata założyć za pomocą porozumienia się badawcze ornithologiczne towarzystwa, mające zamiar łowić ptaki wędrowne w miejscu, gdzie się gnieżdżą i opatrzywszy więźniów małémi puszkami z kruszcu, mieszczącémi karthę pargaminową z wyszczególnieniem miejsca pobytu ptaków i dnia ich złapania; takowe puścić na wolność. Podczas gdy zima trwa na północnéj półkuli ziemskiéj, mają być ptaki wędrowne w półkuli południowéj, albo w okolicach sfer umiarkowanych, skoro obiorą sobie miejsce na przezimowanie, złowione, i więźniowie mają być takiémi znakami, jak wyżéj wyrażono było, opatrzone. Za pomocą czynionych postrzeżeń w różnych częściach świata odkrytąby została za lat kilka tajemnica, okrywająca podróże tak wielu ptaków wędrownych.

W jednéj włości angielskiéj znajduje się podeszła niewiasta, wyobrażająca sobie, że jest starą kurą. W koszu od bielizny zrobiwszy sobie gniazdo, większą część dnia siedzi cierpliwie na trzech sérach holenderskich i wszystkich zapewnia, że najdaléj w siedmiu tygodniach wysiedzi młode kurczęta.

Naprawy w obu domach parlamentowych w Londynie są prawie ukończone. D. 30. stycznia wystawiono tron w izbie wyższéj. Jest szczególnéj piękności, a krzesło mowcy w izbie niższéj bardzo wytwornie zrobione. Pokoje, w których członkowie parlamentu jadają, są daleko większe i wygodniejsze, jak w dawniejszéj izbie niższéj.

Jeden z nowszych podróżników opisuje, że na wyspie Unamara, odkrytéj przez Rossyjan, kobiéty za monetę obiegową uchodzą. Ceny przy kupnie lub sprzedaży uiszczane bywają kobiétami i dają jednę, dwie lub trzy kobiét, podług wartości towaru. Ale ponieważ niewiasty w tym kraju są nader chytre i lubiące oszukiwać, więc nabywca dostaje często fałszywą monetę.

Las skamieniały. Do szczególnych osobliwości Morei należy las skamieniały. Wielu podróżnych zwiedzało wodospad koło Nawarynu, ale nie wielu chciało się trudzić na górę, z któréj on spada i podziwiać się nad olbrzymiemi skamieniałémi pniami drzew, które przewyższają swym ogromem wszelką wegetacyją naszego czasu, a leżąc jedne na drugich, jak szkielety przedpotopowego lasu, zmuszają duszę patrzącego do myślenia o nieznajomych czasach przeszłości. Tam, gdzie potok górski w głębią się rzuca, stoi duże, niezmiernie stare drzewo, wydrążone ogniami pastuszków, którzy w drzewie tém, na krawędzi przepaści, ośmiélają się spać w chłodnych nocach zimowych. Byłem także na téj spaniałéj widowni (pisze pewien podróżnik), lecz chcąc wzrok w przepaść zapuścić, musiałem się trzymać gałęzi, by nie dostać zawrotu głowy. Woda, łamiąc się kilkakrotnie, spada nareszcie prostopadle z wysokości stóp 150 po skale, którą gładzi i wydrąża, a potém toczy się doliną, upływając do morza. Ten górski potok płynie przez las skamieniały. Woda jego posiada w istocie własność skamieniania, lecz trudno pojąć, jakim sposobem po tak dużéj przestrzeni rozlać się mogła i dosiągnąć do tak rozmaitéj wysokości. Spadając przez las wydaje ton dziwny, podobny do nadprzyrodzonego głosu, który zdając się pochodzić gdzieś z bardzo wysoka, samotnego wędrowca okropnémi myślami o innym świecie napełnia.

Anegdota o Boucherze. Znany wirtuoz na skrzypcach Boucher, bawił z rodziną w Petersburgu zaraz po drugiéj restauracyi francuzkiéj i dawał tamże koncerta. Wiadomo jest, że był niezmiernie podobny do cesarza Napoleona, a to nie tylko z rysów twarzy, ale ze wzrostu i t. p. Razu jednego, gdy grał koncert u księcia Nareszkina, przybył cesarz Alexander, który zwykłby często odwiedzać towarzystwa. Postrzegłszy Bouchera zbliżył się ku niemu i rzekł z największą grzecznością: »Panie Boucher, miałbym prożbę do wćpana.« — »Najj. Panie?« — »Prożba ta nie ma żadnego związku z wćpana sztuką.« — »Jestem na usługi W. C. Mości.« — »Przyjdź więc wćpan jutro w południe do pałacu; zostaniesz zaprowadzony do mojego pokoju, a tam dowiész się, o co rzecz idzie. Powtarzam, że za tę grzeczność ze strony wćpana wielce wdzięczny będę.« Boucher przez noc całą myślał nad tém, lecz nie mógł domyśléć się, czego cesarz mógł żądać od niego. Nazajutrz o oznaczonéj godzinie udał się do cesarskiego pałacu i zaledwo wszedł do gabinetu cesarza, gdy wszyscy obecni oddalili się z tamtąd, a nawet wielki książę Konstanty. Cesarz zostawszy sam na sam z Boucherem, prosił go, ażeby z nim udał się do pobocznego pokoju. Tam na kanapie leżał mały kapelusz bez galonu, przy nim szpada, mundur pułkownikowski strzelców gwardyi francuzkiéj i krzyż oficerski legii honorowéj. »Teraz powiém wćpanu, o co go proszę,« rzecze cesarz Alexander; »wszystkie te rzeczy były własnością cesarza Napoleona i znaleziono je w Moskwie. Powiadano mi, że wćpan jesteś do niego podobny, a ja znajduję to podobieństwo większém jeszcze jakem sądził. Moja matka żałuje mocno, że nie widziała cesarza; bądź więc tak dobry i wdziéj te rzeczy na siebie, a przedstawię go mojéj matce, która równie jak i ja bardzo wdzięczną mu będzie.« Boucher przystał na to chętnie i ubrał się w mundur Napoleona przy cesarzu, który potém tajnemi schodami zaprowadził go do pokojów cesarzowéj matki. Wszedłszy cesarz do matki rzekł: że przyprowadza jéj człowieka, zupełnie do Napoleona podobnego, i że teraz śmiało powiedzieć może, iż widziała tego wielkiego męża. Te były własne wyrazy cesarza Alexandra. Poczém odprowadził Bouchera do swojego gabinetu, gdzie tenże mundur cesarza na suknie artysty zamienił.

Mody. W Paryżu noszono téj zimy różowe, błękitne i białe atłasowe szubki *à la polonaise*, wykładane puchem łabędzim. — Jeden z pierwszych bankierów Paryża umeblował dom swój całkiem *à l'antique*. Forma mebli jest z czasów Franciszka I., króla Francyi, zamiast drzwi podawał draperyje w formie gotyckiéj, a firanki u okien i łożek porobić kazał z najpiękniejszego złotem haftowanego aksamitu.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.